

W złych czasach wszystko podupada. Nawet nauka.

Z „jeszywy” w Łoszczycach pozostał tylko jej przełożony, rabi Jekl, i jeden, jedyny uczeń.

Przełożony jeszywy to posunięty w latach, chudy Żyd o rozwichrzonej brodzie i starych, wygasłych oczach. Jego umiłowanym uczniem jest wysoki młodzieniec o bladej twarzy, okolonej czarnymi, kręconymi pejsami. Oczy podkrążone, czarne, płonące. Wargi spieczone, spiczasta, ruchliwa grdyka. I jeden, i drugi nie noszą koszul. Obydwaj mają na sobie łańchmany. Przełożony człapie w zbyt dużych chłopskich butach. Uczeń nie nosi skarpet. Nic dziwnego, że pantofle ześlizgują mu się z nóg.

To wszystko, co pozostało ze sławnej szkoły talmudycznej.

Podupadłe i zbiedniałe miasteczko coraz mniej nosi jadła do jeszywy. Coraz rzadziej jego mieszkańcy zapraszają uczniów jeszywy do swoich stołów. Nie dziw więc, że uczniowie rozjechali się na wszystkie strony świata. Rabi Jekl pragnie jednak umrzeć tutaj, a jego uczeń chce być przy nim, by zamknąć mu oczy.

I obaj często cierpią głód. W ślad za niedojadaniem przychodzi bezsenność. Z bezsennych nocy rodzi się skłonność do mistyki, do kabały. Tak czy inaczej, w nocy czuwają, a w dzień głodują. Niech więc będzie jakiś pożytek z tego. Niech posty i stałe umartwianie ciała otworzą im wszystkie bramy świata, za którymi kryją się tajemnice, za którymi przebywają duchy i anioły.

Toteż od pewnego czasu obaj ślęczą nad kabałą. Właśnie siedzą przy długim stole. Oprócz nich nie ma nikogo w bóżnicy. Normalnie ludzie są już po obiedzie. Oni jeszcze nie jedli śniadania. Do tego są przyzwyczajeni. Przełożony jeszywy ma przymknięte oczy i coś tam mówi. Uczeń podparł rękoma głowę i słucha.

Rzecz w tym — mówi przełożony — że jest wiele prób i wiele stopni do osiągnięcia doskonałości ducha. Do opanowania melodii ducha. Jeden zna część, drugi połowę, trzeci zaś

zna całą melodię. Cadyk, oby imię jego było błogosławione, zna całą melodię. Ja, dodał ze smutkiem, znam zaledwie jej częsteczkę, ot taką maciupęnką częsteczkę tej melodii. I mówiąc to, odmierzył na swoim chudym palcu malutką częstkę.

Jest melodia — ciągnął dalej — która potrzebuje słów... Jest to bardzo niska próba. Najniższy stopień poznania...

Jest wyższa próba... To melodia, która sama wyraża się śpiewem. Sama śpiewa, ale bez słów. Jest to czysta melodia! Melodia jednak powinna jeszcze posiadać głos... I usta, przez które wychodzi. A usta, rozumiesz mnie, to coś z materii. A głos, choćby nawet był najdelikat-

niejszy z delikatnych, jest mimo to materią. Dobrze, niech będzie, że głos jest na pograniczu duchowości i materialności.

Ale melodia, której głos jest słyszalny, która zależna jest od ust, i tak nie jest jeszcze czysta. Powiedzmy — całkowicie czysta... Nie jest jeszcze prawdziwą duchowością.

Prawdziwa melodia to ta, która sama przez się śpiewa bez głosu... Śpiewana jest wewnątrz, w sercu. W głębi jaźni.

Tajemny sens tego, co przed chwilą powiedziałem, wyrażony został w słowach króla Dawida: powinna Tam ...kości szpiku w dźwięczeń powinna Melodia ...“powiedzą kości moje Wszystkie” brzmieć melodia wyrażająca najwyższą chwałę dla Wszechmogącego. Nie jest to melodia człowieka zwykłego, melodia zwykłego zjadacza chleba. Nie jest to też melodia wymyślona. W pewnej mierze jest to już część owej melodii, z której Bóg stworzył świat. Jest to część duszy, którą Bóg tchnął w świat... Tak śpiewają aniołowie stojący najbliżej Boga. Tak śpiewa to, co jest samą istotą żydowskości.

Nagle rozważania przełożonego zostają przerwane. Do bóżnicy wchodzi młody krzepki człowiek. Biodra ma opasane sznurem. Tragarz. Stawia na stole przed przełożonym miskę gorącej kaszy. Obok niej kładzie pajdę chleba. Grubym głosem powiada: “Reb Tebl posyła rabiemu jedzenie”. Obraca się na pięcie i wychodzi. Na progu dodaje: “Po miskę przyjdę

później”.

Wyrwany grubym głosem tragarza ze sfery niebiańskiej harmonii, przełożony jeszywy podnosi się z ławki. Człapiąc w za dużych butach, powoli podchodzi do umywalki.

Podchodząc, dalej snuje rozważania. W jego mowie nie ma już jednak poprzedniego zapału. Uczeń chodzi za nim. Słucha uważnie. Uszy ma otwarte. W oczach skrzą mu się błyski.

— Ale — kontynuuje smutnym głosem rabi Jekl — ja sam nie miałem szczęścia i nie udało mi się pomyślnie przejść tej próby. Widzisz — dodaje z uśmiechem — umartwiania ciała dokonałem i właściwe imiona boskie poznałem. Być może, że dziś jeszcze podam ci je.

Uczniowi ze wzruszenia oczy niemal z orbit wylazą. Ma usta otwarte. Nie chce uronić najmniejszego nawet słowa swego nauczyciela. Nagle rabi milknie. Myje ręce, wyciera je w ręcznik i wypowiada odpowiedni werset modlitwy. Wraca do stołu i cichym, chwiejnym głosem odmawia błogosławieństwo nad chlebem.

Drżącymi rękoma podnosi miskę. Unosząca się z niej para zakrywa ciepłą mgiełkajego kościstą twarz. Po chwili stawia miskę z powrotem na stół. Prawą ręką bierze łyżkę, lewą zaś przykłada

do brzegu miski, by ją ogrzać. Jednocześnie językiem przyciska resztki chleba z solą do gołych dziąseł i rozgniata je.

Ogrzawszy twarz i ręce, marszczy czoło, ściąga sine, chude wargi i zaczyna dmuchać.

A uczeń przez cały czas nie spuszcza oka z niego. I kiedy drżące usta przełożonego dotykają pierwszej łyżki kaszy, coś go chwyta za serce. Zakrywa dłońmi twarz i w mig cały się kurczy.

W kilka chwil potem w bóżnicy zjawia się następny człowiek. Przynosi miskę kaszy i pajdę chleba. „Reb Josef przysłał śniadanie dla ucznia”.

Uczeń jednak nie reaguje. Nie zdejmuje dłoni z twarzy.

Przełożony odkłada łyżkę i podchodzi do ucznia. Przez dłuższą chwilę wpatruje się w niego. W jego spojrzeniu widać miłość i dumę. Owija rękę w potę kapoty i lekko dotyka jego ramienia.

Przyjaznym, tliwym głosem budzi go: „Przynieśli dla ciebie jedzenie”. Uczeń powoli zdejmuje ręce z twarzy. Odsłonięta twarz tchnie smutkiem. Jest bledsza niż była, a podkrążone oczy płoną jakby szalonym ogniem. — Wiem, rabi! Dzisiaj jednak nie będę jadł.

— Czwarty post? I to beze mnie — dodaje rabi z wyrzutem głosu.

— To zupełnie inny post. To jest pokutny post.

— Co ty mówisz? Ty i pokutny post?

— Tak, rabi. Pokutny post... Przed chwilą, kiedy tylko rabi zaczął jeść, nawiedziła mnie grzeszna myśl, aby sprzeniewierzyć się przykazaniu „nie pożądaj”...

Tej samej nocy uczeń obudził swego nauczyciela. Obydwaj spali na ławkach w bóżnicy.

— Rabi, rabi — zawołał słabym głosem.

— Co się stało? — Rabi był przerażony.

— Przed chwilą byłem w najwyższym rejonie.

— Jak? Jak to było? — zaspanym głosem pyta rabi.

— Melodia śpiewała we mnie!

Przełożony jeszywy aż przysiadł z wrażenia.

— Jak? Jak?

— Sam nie wiem — słabym głosem odpowiedział uczeń. — Nie mogąc zasnąć, zacząłem wgłębiać się w to, o czym mówił mi rabi. Zapragnąłem poznać tę melodię. Z wielkiego żalu, że jej nie znam, rozplakałem się... I wszystko zaczęło we mnie płakać. Wszystkie członki mego ciała płakały przed Twórcą. Wymówiłem wszystkie Imiona boskie, które rabi mi podał. I stała się rzecz niezwykła. Istny cud. Wymawiałem je nie ustami. To wszystko było we mnie. W środku. Same mówiły. I nagle zrobiło mi się jasno. Oczy miałem zamknięte, a mimo to było mi jasno. Nawet bardzo jasno. Niezwykle jasno!

— I co dalej? — przełożony jeszywy nachyla się nad uczniem.

— A potem, od tego światła, od tej powodzi jasności zrobiło mi się na sercu tak jakoś dobrze, tak jakoś lekko... Zdawało mi się, że nic nie ważę, że ciało moje utraciło ciężar, że mogę swobodnie się unieść w powietrze i latać...

— To jest to!

— A potem zrobiło mi się wesoło na duszy. Stałem się jakiś żywszy, skory do śmiechu. Twarz moja pozostała nieruchoma, wargi nie poruszały się, a mimo to nie opuszczał mnie śmiech... Śmiałem się dobrym, wspaniałym, serdecznym, pełnym zadowolenia, śmiechem.

— To jest to! — to z radości!

— A potem coś we mnie zadźwięczało. Było to coś w rodzaju początku melodii.

Przełożony jeszywy zerwał się z ławki i jednym susem znalazł się przy uczniu.

— No i co dalej?

— Potem usłyszałem, jak we mnie coś się rozśpiewało.

— Coś wtedy czuł? Co? Powiedz!

— Czułem, że wszystkie moje zmysły są jakby zatkane, a wewnątrz mnie coś śpiewa... A śpiewa tak, jak się należy. Bez słów. Ot tak...

— Jak? Jak?

— Nie. Nie pamiętam. Teraz nie umiem... Przedtem umiałem..., a potem z tego śpiewu zrobiło się, zrobiło się...

— Co się zrobiło?

— Coś w rodzaju gry... Jakbym miał w swoim wnętrzu skrzypce. Jakby we mnie siedział Jojne Klezmer i grał zmires [pieśni śpiewane przy stole podczas uczyty sobotniej]. Jak przy stole rabiego. Ta gra była jednak o wiele doskonalsza, o wiele delikatniejsza. Było w niej więcej z ducha. A cała gra była bezgłówna. Bez najmniejszego głosu. Sama duchowość!

— Tobie to dobrze. Masz szczęście!

— Ale teraz wszystko minęło. Wszystko zniknęło. — Uczeń wypowiada to z głębokim smutkiem. Znowu otworzyły mi się wszystkie zmysły. Jestem zmęczony. Okrutnie zmęczony. Tak zmęczony, że... Nie kończy zdania. Nagle chwyta się za serce i wydaje okrzyk:

— Rabi! Niech rabi odmówi ze mną Widuj [spowiedź przedśmiertna]. Przyszli już po mnie. Tam w niebiosach zabrakło małego śpiewaka. Anioł o białych skrzydłach! Rabi! Rabi! Szma, Israel! Szma, Isra...

Wszyscy bez wyjątku mieszkańcy miasteczka pragnęliby umrzeć taką śmiercią. Dla przełożonego jeszy wy było to jednak za mało.

— Jeszcze — powiedział wzdychając — kilka postów, a umarłby z pocałunkiem Boga na twarzy. [Z pocałunkiem Boga umarł Mojżesz.]